

### III

Spotkaliśmy się następnego dnia w południe.

W powietrzu czuć już było pierwszy powiew zimy. Opatuliłem się płaszczem i wcisnąłem kapelusz głębiej na czoło, opierając się podmuchom mroźnego wiatru i kaskadom gnających prosto w twarz liści.

Mieszkanie Lothara znajdowało się w odnowionej kamienicy na drugim piętrze. Klatka schodowa z kute-go żelaza i witraże w oknach zapowiadały przyjemne lokum o wysokich sufitach. Wyobraziłem sobie nawet ogień buchający w kominku.

Gospodarz czekał na mnie z imbrykiem gorącej herbaty – dobrej, angielskiej herbaty, którą uwielbiałem. Szczerze mówiąc, spodziewałem się raczej skromnego pokoiku i byłem mile zaskoczony obszernością i wystrojem jego mieszkania. Dawny przepych mojego domu wrócił w krótkim, bolesnym przeblysku.

– Nigdy nie mówiłem, że mieszkam skromnie – Lothar jakby odgadł moje myśli – i że bez pana nie zarobiłem żadnych pieniędzy – dodał, nalewając herbatę do filiżanek z cienkiej porcelany.

W salonie było przyjemnie ciepło, ogień faktycznie trzaskał w kominku, a na środku pokoju pysznił się ogromny czarny fortepian, na którego widok z moich

ust wyrwało się ciche westchnienie. Był to ogromny, koncertowy Bösendorfer, rozsadzający niemal pokój swoimi rozmiarami. Mimo niedawnego bogactwa nigdy nie mieliśmy równie wspaniałego instrumentu.

– Myślę, że jest godny pańskiego talentu – usłyszałem, gdy zdejmowałem płaszcz. Odebrał go ode mnie lokaj, który wyrósł jak spod ziemi. Nie spodobało mi się to.

– Wystarczy tego – nieproszony usiadłem na krześle i założyłem nogę na nogę. – Do czego tak naprawdę jestem panu potrzebny?

Lothar uśmiechnął się, wręczając mi filiżankę.

– Młody arystokrata, który niedawno stracił wszystko, jeszcze wczoraj pełen ideałów i z wizją świetlanej przyszłości, nagle został z niczym... – rzekł cicho, patrząc na mnie. Poczułem dreszcz przebiegający po plecach. Nie mówiłem mu o tym poprzedniego wieczora, a przynajmniej nie pamiętałem, abym mówił. Milcząc, odebrałem z jego dłoni filiżankę i upiłem łyk.

– Jakże inaczej mogłem skusić pana, jeśli nie wizją nowej, lepszej przyszłości? – było coś niepokojąco drapieżnego w spojrzeniu, którym mnie taksował. Bez słowa, z gracją osunął się na obitą wzorzystym adamaszkiem sofę.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż miałem już dosyć podejrzeń i niedomówień. Najwidoczniej coś w mojej osobie zaintrygowało Lothara do tego stopnia, że odgrywał przede mną całe to

przedstawienie, naigrawając się z moich słabości i wykorzystując beznadziejną sytuację, w której się znajdowałem. Wiedziałem, że nie mam nic do stracenia, zatem cierpliwie czekałem na rozwój sytuacji.

– Więc? – odezwałem się wreszcie. – Będziemy tak siedzieć i przyglądać się sobie? Może wyjaśni mi pan, o co tak naprawdę chodzi?

Lothar spuścił wzrok i uśmiechnął się nieznacznie.

– Chciałem pana przygotować na spotkanie z moim, a wkrótce również pańskim mecenasem – odrzekł, popijając herbatę. – Jest to... – zawiesił głos, jakby zastanawiał się nad doбором odpowiednich słów – ...człowiek o specyficznym usposobieniu i spotkanie z nim mogłoby być dla pana pewnym szokiem.

– Szokiem? – uniosłem brwi. – Co pan ma na myśli? Czy ten mecenas jest aż tak specyficzny, że powinienem obawiać się spotkania z nim?

Spodziewałem się zobaczyć uśmiech, Lothar jednak nagle spowaźniał. Wstał i powoli podszedł do okna, jego obcasy miarowo stukały o nagi parkiet z jasnych desek.

– Nie czuję się swobodnie w tej sytuacji, proszę mi wierzyć. Mecenas ma w sobie coś, co może wzbudzać lęk, a niewątpliwie zmusza do szanowania go. Poznając pański temperament, wołałem o tym uprzedzić, aby nie wywoływać niepotrzebnych napięć podczas spotkania.

– Sugeruje pan, że nie potrafię się zachować w obecności wpływowej osoby? Że jestem niewychowanym

gburem ze wsi, który pogubi się przy spotkaniu jakiegoś napuszonego starego idioty? – starałem się zachować spokój, ale gotowałem się wewnątrz.

Dopiero jednak gdy wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę z tego, że Lothar miał zupełną rację. Ostatnie dni zmieniły mnie w nieokrzesanego prostaka, jakbym wraz z majątkiem stracił ogłędę, wykształcenie i resztki dobrego wychowania.

– Przepraszam... – powiedziałem cicho. – Ma pan rację, nie jestem chyba gotowy na spotkanie z kimkolwiek poza barmanem. Ostatnie dni były dla mnie bardzo ciężkie i sprawiły, że zmieniłem się w kogoś, kogo nie poznaję. Szanuję pańską dobrą wolę, a także wolę pańskiego mecenasa – mówiłem to wszystko, ale miałem wrażenie, że ktoś inny wypowiada te słowa za mnie, jakby niewidzialny sufler siedzący na ramieniu szeptał je wprost do mojego ucha.

– Chciałbym posłuchać pańskiej gry – Lothar spojrzał na mnie ciepłej – Zechce pan wypróbować mój nowy instrument? Dostałem go kilka dni temu i nie miałem okazji dokładnie mu się przyjrzeć.

– Nikt nie grał jeszcze na tym fortepianie?

– Za wyjątkiem stroiciela nikt. O ile jego brzdąkanie można w ogóle nazwać muzyką.

Wstałem i podszedłem do instrumentu. Był imponujący, nie zdarzyło mi się widzieć dotychczas równie wspaniałego. Zacząłem się nawet zastanawiać, jak zdołano umieścić go w tym pokoju, z pewnością użyto jakiegoś dźwigu...

– Proszę – Lothar wskazał mi szeroką, pokrytą polerowaną skórą ławę.

Usiadłem i uświadomiłem sobie, że byłem znerwowany prawie tak samo jak wówczas, gdy jako dziecko po raz pierwszy występowałem dla rodziny. Miałem poczucie, że od tego, jak zagram, będzie zależało zbyt wiele.

Lothar wycofał się i usiadł w fotelu, w zasadzie zniknął w objęciach ogromnego mebla, jakby nie chciał wchodzić pomiędzy mnie i moją muzykę.

Uniosłem klawię i dotknąłem lśniących klawiszy. Ich powierzchnia była chłodna i gładka, przywiodła mi na myśl wszystkie te chwile, kiedy grałem i byłem zupełnie sam, tylko ja i dźwięki w powietrzu przesyconym przenikliwą pieśnią cykad, a za oknami zapadał lepki zmierzch Luizjany...

Zagrałem.

Gdybym miał teraz wymienić tytuł utworu, nie mógłbym go sobie przypomnieć. Liszt, Chopin, jakies urywki nokturnów czy preludiów, utwory zaczęły stapać się pod moimi palcami w leniwą improwizację, rozchodząc pod wysokim sufitem jak śpiew niewolnic wśród pól bawełny, majestatyczny, pełen nostalgii i tęsknoty za wolnością, która pozostawała jedynie pojęciem. Dźwięki stawały się coraz bardziej przejmujące, aż w końcu zacząłem tracić nad nimi kontrolę, przestałem je słyszeć, zatraciłem się w kakofonii odgłosów dzieciństwa, które nagle wybuchły w mojej głowie, przeplatając się z obrazami dawno niewidzianych

miejsc. Jakby ktoś powoli wysącał z mojego umysłu całe moje życie, ogłądał je, przekartkował i delektował się nim jak dobrym trunkiem – tym właśnie stała się ta muzyka; całym moim życiem, zapowiadającym się tak cudownie i w jednej chwili zmienionym w jakąś farsę, którą zdawałem się obserwować z zewnątrz. Miałem wrażenie, że stoję obok i patrzę na siebie, jak pochylony smętnie kiwam się nad klawiaturą, pozwalając, by muzyka, jakiej nigdy wcześniej nie grałem, owładnęła mną i sprawiła, że czas na chwilę stanął w miejscu, gdy za pomocą dźwięków opowiedziałem całe swoje życie, nie wiedząc nawet, że byłem do tego zdolny.

Mogło to trwać chwilę lub wieczność.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że nie gram już, a moje dłonie spoczywają bez ruchu na klawiaturze. Słyszałem tylko własny, przyspieszony oddech, czułem wilgoć nad górną wargą i na czole, a pod przymknięte powieki dostawało się szare światło jesiennego popołudnia.

Otworzyłem oczy i wyprostowałem się, a całe ciało bolało mnie tak, jakbym nie grał, a dźwigał fortepian na plecach. Wstałem, ława skrzypnęła cicho, a ja odwróciłem się w stronę fotela, w którym siedział Lothar. Patrzył na mnie w milczeniu, pocierając palcem podbródek, jakby zastanawiał się, w jakie słowa ubrać coś, czego nie chciał powiedzieć, a musiał. Po chwili podniósł się i podszedł do kominka. Zapatrzył się w ogień, a gdy zaczynałem się irtować jego milczeniem, odezwał się cicho:

– Ktoś popełnił kiedyś wielki błąd, zakładając, że powinien pan zostać plantatorem... – uniósł dłonie, jakby chciał ogrzać je nad płomieniami, choć w pokoju było przyjemnie ciepło. – Dlatego też pańskie nie-szczęście wyjdzie panu jednak na dobre – dokończył, odwracając się i przyglądając mi, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– Nie rozumiem...

– Zrozumie pan. Gdyby pański majątek nie prze-padł, do końca życia wpisywałby pan kolumny numer-ków do ksiąg i doglądał winorośli, bawełny, indygo czy co tam uprawialiście. Być może kogoś innego takie ży-cie satysfakcjonowałyby, ale nie pana. W ciągu kilku lat zmieniłby się pan w zgorzkniałego kupca, opanowane-go żądzą zysku, myślącego tylko o pieniądzach, niezdol-nego zmrużyć oka przy niesprzyjającej jego uprawom pogodzie. Teraz, gdy nie ma już czego doglądać, gdy nie ma pan nic do stracenia, może pan spojrzeć w głąb sie-bie i zagrać to, co dyktuje serce. Ponieważ jest pan wolny.

Wolny.

To było właśnie to słowo, które w tamtej chwili stało się ciałem. Nagle uświadomiłem sobie, że choć miałem tak niewiele, to odzyskałem siebie. Nikt nie miał już nigdy narzucać mi swojej woli, mówić mi, kim mam być i jak mam żyć. Jeszcze niedawno całe moje życie było zaplanowane z góry, ale nie przeze mnie, i nagle ten plan przestał istnieć, stał się zupełnie bez znaczenia. Istniała tylko obecna chwila i moja wola. Stałem się panem własnego, choć marnego losu.

– W pańskiej muzyce drzemie prawda zdolna poruszyć ludzkie serca... – Lothar wciąż przyglądał mi się uważnie. – Jest w niej tęsknota za życiem, którego pan pragnął, a jednocześnie nienawidził, zanim nawet pan je poznał. Teraz nie ma pan nic, a jednak ma wszystko. Odzyskał pan wolność, choć nie wiedział nawet, że był niewolnikiem jak ci, którzy pracowali na waszych polach. Różniło was jedynie to, że pan nie sprzeciwiał się tej niewoli i poddał jej, nie mogąc nic zmienić. Ale to los zdecydował. I teraz, dopiero teraz, uwolniony od dóbr materialnych, może pan zdobyć wszystko. Może pan zdobyć rząd dusz.

Nie w pełni pojmowałem wówczas sens jego słów. Czy w ogóle wspomniałem mu, skąd pochodziłem i jakie spotkały mnie nieszczęścia? Takie słowa wydawały mi się nie na miejscu w ustach człowieka otoczonego tym całym przepychem, ubranego w aksamit i pijącego wyborną herbatę z filiżanki z cienkiej porcelany. I oto on mówił mi, że zdobędę rząd dusz, że bogactwa materialne tak naprawdę były bez znaczenia i liczyła się tylko...

– Władza, proszę pana. Władza jest jak narkotyk... – Lothar wrócił do stołu i dolał sobie herbaty. – Jest jak absynt i morfina, ale nie powoduje tylu nieprzyjemnych skutków ubocznych. Ma pan niewątpliwy talent i prawdę w sobie, które pozwolą nam sięgnąć wyżej, niż początkowo przypuszczałem. Pozwolą nam kontrolować dusze tych, którzy będą słuchać pana muzyki. A mając władzę nawet



nad jednym człowiekiem, może pan zdobyć cały świat.

Poczułem ukłucie niepokoju. Nie wiedziałem, jak rozumieć to, co powiedział. Przez chwilę wydał mi się istotą nie z tego świata, diabłem podającym mi do podpisania cyrograf. Czekałem, aż wyciągnie zza pleców narzędzie, którym utoczy mi krwi do podpisu. Wizja wydała się tak realna, że przez moment, gdy na mnie spojrzał, a jego czarne oczy odbiły blask płomieni trzaskających w kominku, poczułem prawdziwy strach.

Za oknem szybko zapadał późnojesienny zmierzch. Miałem wrażenie, że czas przecieka mi między palcami i płynie zbyt szybko.

– Proszę pana, wydaje mi się, że nie... – zacząłem niepewnie, nie wiedząc właściwie, co chciałem powiedzieć.

– Czy zostanie pan na obiedzie? – Lothar uśmiechnął się nieznacznie, demoniczność gdzieś zniknęła, a on znów był tym młodym mężczyzną, który zaczął mnie w barze.

– Z chęcią – odparłem, nie jadłem bowiem porządnego posiłku od dwóch dni.

## IV

— Lord wkrótce do nas dołączy. — Lothar powoli odkrajał kęsy, jadł niespiesznie i elegancko. Z trudem powstrzymywałem wilczy apetyt, w duchu śmiejąc się z siebie. Byłem przecież wykształconym człowiekiem, a dwa dni diety zrobiły ze mnie dzikusa.

Lord Edgar Francis Huntington.

Wyobraziłem sobie starego zarozumialca, któremu wydaje się, że może dysponować ludźmi, że może ich kupować i sprzedawać jak przedmioty. Lothar stał się w moich oczach jedną z zabawek, które umilały tamtemu chwile starości. Ja miałem się stać kolejną.

Skąd było we mnie tyle cynizmu, podejrzliwości, nieufności? Nie zastanawiałem się nad tym. Przez cały czas myślałem tylko o nazwisku Huntington, o tym, że gdzieś już je słyszałem, nie, widziałem je zapisane, ale gdzie?

— Bardzo pan zamyślony... — Lothar uniósł do ust kolejny malutki kęs. — Chyba się pan aż tak nie denerwuje?

Milczałem. I denerwowałem się, choć nie wiedziałem dlaczego.

Rozglądałem się po jadalni, urządzonej wystawnie i dostatnio. Meble z egzotycznego drewna, zastawa o złożonych rantach, najlepsze kryształ, dyskretne

przejawy bogactwa, z którym nie chciano się obnosić. Na ścianie wisiały olejne obrazy przedstawiające ruiny i krajobrazy skąpane w świetle księżycy, każdy szczegół oddany wyraźnie jak na dagerotypie. Była w nich jakaś melancholia, nie pasowały do jadalni, a jednak wyeksponowano je właśnie tutaj, jakby specjalnie miały przypominać o tym, że życie nie polega jedynie na doczesnych przyjemnościach.

– Przepiękne, prawda? – Lothar zawiesił wzrok na jednym z obrazów, powoli sącząc czerwone wino. – To prezenty od przyjaciela lorda. Maluje przepiękne obrazy, szczególnie portrety. Być może będzie miał szansę obejrzeć je w posiadłości lorda.

Były piękne i niepokojące zarazem, zdawało mi się, że wyczuwałem smutek artysty, który je namalował, jak gdyby...

– Arapaggio ucieszyłby się z pańskiego podziwu – usłyszałem za sobą cichy głos, niemal szept, pobrzmiwający jakby ze studni. Wzdrygnąłem się i odruchowo wstałem, odsuwając krzesło z nieeleganckim zgrzytem.

Lothar również się podniósł, po czym skłonił głębo-ko, spuszcżając wzrok.

– Lordzie Huntington, to jest pan Armagnac Jardineux – wskazał na mnie, obchodząc stół.

– Cudowne dziecko o imieniu wina... – Mężczyzna zlustrował mnie przenikliwym wzrokiem zmrużonych oczu, jasnych i błyszczących. Mogłem dostrzec ich głęboki szmaragdowy kolor. – Równie aromatyczne, słodkie i uderzające do głowy...

Nie wiedziałem, co bardziej mnie onieśmieliło: jego słowa czy usta, które je wypowiadały.

Lord Edgar Francis Huntington zdawał się najmłodszy z nas trzech. Niewysoki, smukły, odziany w czerní, jego twarz okalały jasne włosy zdające się żyć własnym życiem, poruszające się przy każdym kroku jak włosy topielca pod wodą. Uniósł dłoń okrytą białą rękawiczką do twarzy niemal równie bladej, jakby pokrytej warstwą matowego pudru. Odnosiło się wrażenie, że patrzy się na niego przez zaparowaną szybę. To musiał być bardzo staranny makijaż.

– Lothar bardzo pochlebnie wypowiada się o panu – lord wskazał gestem, żebyśmy usiedli, i sam zajął miejsce u szczytu stołu. Służący dyskretnie postawił przed nim talerz i napełnił kieliszek, lecz mężczyzna nie zwrócił na to uwagi. Ja także zapomniałem o jedzeniu, słuchając jego głosu, w którym czaił się pomruk, jakby siedziała w nim jakaś bestia próbująca przemówić. Przeszedł mnie dreszcz, drżałem jak uczeń przed groźnym profesorem, nie, raczej jak bezbronne zwierzę w obliczu drapieżnika.

– Jak pan zapewne wie, jestem mecenasem młodych artystów. Wielu muzyków zrobiło spektakularne kariery, zaczynając pod moimi skrzydłami.

„Kiedy ich wspierałeś? – pomyślałem. – Z kołyski?”

Lord uśmiechnął się, a moje serce zmiękło, jakby tym uśmiechem rzucił na mnie urok. Patrzył mi prosto w oczy i w jego spojrzeniu była jakaś zakamuflowana lubieżność, rozchylił nawet usta, jakby przyglądał

się nagiej kochance, a ja poczułem, że się rumienię jak dziewczica pod wpływem tego wzroku. Zdawał się zagłądać wprost do mojego umysłu.

– Zbyt łatwo ulega pan pozorom, panie Jardineux – ten głos był jak narkotyk, czułem zawroty głowy, jakbym wypił za dużo, a przecież ledwie dotknąłem ustami kieliszka. – Patrzy pan na moją twarz i widzi chłopca, proszę mi jednak wierzyć, przeżyłem o wiele więcej, niż jest pan sobie w stanie wyobrazić. Spotkałem na swojej drodze wielu przyjaciół i wrogów, zjeździłem Europę i Nowy Świat, wyrabiając sobie o nim pojęcie, które – z całym szacunkiem – panu jest obce. Moja intuicja nigdy mnie nie zawiodła. Potrafię wyczuć talent i sprawia mi niesamowitą radość patrzenie, jak się rozwija. Pan, mój drogi Armagnac – zdawało mi się, że celowo zatrzymał się, przedłużając krótkim warknięciem moje imię – jest samorodnym talentem, któremu nie pozwolę się zmarnować, który musi zostać zapamiętany na wieki, który musi trwać...

– Nie słyszał pan jeszcze, jak gram – przerwałem mu w końcu, czując, że stracę przytomność, jeśli natychmiast nie przestanie mówić.

– Więc proszę mi coś zagrać i udowodnić, że się nie pomyliłem – wskazał sąsiedni pokój, w którym stał fortepian.

Wspomniał, że zwiedził Nowy Świat... Kiedy? W czasie wojny nikt tam nie podróżował, a przed wojną był zapewne jeszcze dzieckiem. Ile on miał lat?

Chwiejnym krokiem dobrnąłem do instrumentu i usiadłem, unosząc pokrywę nad klawiatury. Świat wirował, a przez mają głowę przebiegały niedorzeczne podejrzenia, że być może dodano do wina narkotyku.

Zacząłem grać. Melodia była chwiejna i niepokojąca, tak jak moje myśli. Struny drgały w dysonansach, które odbijały się od sufitu i wracały do mnie, sprawiając, że grałem jeszcze dziwniejsze i nieskoordynowane dźwięki, nie słysząc nawet, czy układały się w melodię. Miałem wrażenie, że palce odmawiają mi posłuszeństwa, ale jednocześnie wygrywają właśnie to, co w tamtej chwili czułem. Zamknąłem oczy i pozwoliłem ponieść się tej niepokojącej muzyce, pozwoliłem jej prowadzić moje ręce, tak jakby to ona sterowała mną, a nie odwrotnie.

Nie wiem, jak długo grałem. Bałem się otworzyć oczy, aby nie napotkać spojrzenia lorda, czułem, jak mnie obserwuje, czułem ogień w jego oczach i zimny wzrok Lothara, który stał pod ścianą w cieniu.

Gdy wreszcie uniosłem głowę, obaj na mnie patrzyli. Huntington stał tuż przy instrumencie.

– Instynkt nigdy mnie nie zawodzi – rzekł cicho, pomruk bestii był ledwie słyszalny za fasadą nienagannej angielszczyzny. Mój wyczulony muzycznie słuch przez cały wieczór doszukiwał się w jego głosie francuszczyzny, włoskiego, wychwyciłem nawet archaiczną twardość łaciny. Z pewnością władał wszystkimi tymi językami i jeszcze kilkoma innymi, których nigdy

nawet nie słyszałem. Skąd jednak przyszło mi to do głowy, dlaczego byłem o tym nagle przekonany – nie wiedziałem. Chciałem, by mówił jeszcze, by nie przestawał mówić, choć jednocześnie bałem się znów zatracić w jego głosie. Cała moja wcześniejsza niechęć zgasła, uprzedzenia zniknęły, pragnąłem tylko poddać mu się, spełniać jego wolę, sprawić, by był zadowolony ze mnie i mojej gry, chciałem mu służyć.

Chciałem mu służyć?!

Zerwałem się z ławki, odwróciłem wzrok od tych płonących w półmroku oczu, przez chwilę nie pamiętałem, gdzie byłem i co działo się przez ostatnie godziny. Poczułem panikę, jakby nagle w pokoju zaczęło brakować powietrza, jakby pomieszczenie wypełniło się dymem. Na widok przyczajonego w kącie Lothara niemal krzyknąłem.

– Muszę... muszę już iść... – wymamrotałem, wychodząc pospiesznie z pokoju, przez korytarz, zerwałem z wieszaka płaszcz. Gdy zbiegłem ze schodów i uderzyło mnie mroźne, zapierające dech powietrze, zdałem sobie sprawę z tego, że zapomniałem kapelusza, ale myśl o wróceniu po niego wydała mi się niedorzeczna. Wiatr szarpał moje włosy, które wymknęły się ze wstążki, gdy grałem. Nie przejąłem się tym, postawiłem kołnierz i rozejrzałem się za kolosą, ulica jednak była pusta. I tak nie miałbym czym zapłacić za kurs, ruszyłem więc pieszo w ciemność, klnąc pod nosem, gdy w mdłym świetle gazowych latarni zatańczyły pierwsze płatki śniegu.

Zmierzałem śpiesznie w stronę domu, byle dalej od głosu Edgara Francisa Huntingtona, do podłej kamienicy przy podłej uliczce, która co piątek zmieniała się w podły rynek pełen podłej jakości towarów, smrodu ryb, kóz i wrzeszczących wniebogłosy przekupek. Resztki nieuprzątniętych śmieci i zwierzęce ekskrementy pokrywały się cienką warstwą śniegu. Poczułem, jakby ktoś siłą wyrwał mnie z przytulnego, pełnego dyskretnej elegancji mieszkania Lothara i cisnął wprost w ten cuchnący zaułek, a przecież sam uciekłem, sam się stamtąd wyrwałem, nie wiedząc nawet dlaczego.

Kim on był? Młodzik o płonących oczach i diabelskim głósie, który twierdził, że zwiedził świat i od lat wspierał muzyków, co było oczywistą niemożliwością. Kiedy, na miłość boską, miałyby to robić? W ramionach mamki? Zza pleców guwernantki? Jego twarz wyglądała tak delikatnie, jakby nie zaznała jeszcze brzytwy. A jednak mu wierzyłem, miał w sobie dostojeństwo i powagę właściwe starcom, jakiś osobliwy majestat, coś, co sprawiało, że czułem się mały i niewiele znaczący, podległy mu całkowicie.

Co za bzdury!

Ze złością otworzyłem drzwi na ostatnim piętrze, ale na tyle cicho, by nie zbudzić starej ciotki, która noc myliła z dniem i wyrwana nagle ze snu, potrafiła snuć się po mieszkaniu, na ile pozwoliły jej powykręcane artretyzmem kończyny. Pokrzykiwała wówczas na mnie, biorąc mnie za swego zeszłego przed dekadami



męża, a to była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowałem. Okryłem ostrożnie pledem staruszkę drzemiącą w fotelu przy dogasającym kominku. W mieszkaniu było zimno i cuchnęło wilgocią, przeciągi wdzierały się przez nieszczelne okna. Wiedziałem, że w takich warunkach ciotka nie przeżyje zimy. Miała już chyba ze sto lat i trzymała się przy życiu jedynie siłą woli.

Mój mały pokoiik zdał mi się odrażającą, brudną norą w porównaniu z pełnymi dyskretnego uroku i wyszukanej elegancji pokojami Lothara. A przecież do niedawna sam mieszkałem wśród luksusów. Nagle wydało mi się to zupełnie nierealne, jakbym spędził w tym małym pokoju ostatnie kilkanaście lat, a nie kilkanaście dni.

Zachciało mi się śmiać i płakać jednocześnie. W głowie rozkosznie pulsowało wyborne wino, a pełen żołądek sprawił, że stałem się ociężały i senny. Nie mogłem odpędzić od siebie wspomnień wieczoru, szarpały mną sprzeczne uczucia.

Kim byli ci mężczyźni? Czy perturbacje w moim życiu sprawiły, że zaczynałem tracić zmysły i kontrolę nad sobą? Nigdy nie byłem tchórzem czy asekuransem, na nedorzecznych amerykańskich balach jeszcze jako młodzik brylowałem i byłem duszą towarzystwa. Tamten chłopak jednak zginął wraz z rodzinną fortuną. Co działo się teraz, że traciłem głowę w obliczu dwóch kulturalnych chłopców?

Nazajutrz musiałem wrócić po swój kapelusz, bo nie było mnie stać na nowy. Nie było mnie stać na nic...

I nagle powróciły do mnie zapalczywe słowa Lothara o sławie, pieniądzach i... jak on to ujął? O rządzie dusz.

Co to mogło, do diabła, znaczyć?